

# Piszemy wiersze czyli sami sobie siebie tłumaczymy

(Dokończenie ze strony 9)

Przełóżłam wiele, może zbyt wiele tomików wierszy autorstwa nieznanymi mi czasem poetów, jako juror czytam setki wierszy nadsyłanych na rozliczne konkursy. Wiele z nich złożyłoby się na jeden wspólny wiersz. Oto jest dom – chata, może chałupa, a przed domem niewielkie podwórko ze studnią, nad którą sterczy skrzypiący żuraw. Trochę dalej sad z kwitnącymi białą i różowo drzewami owocowymi. Obszerna kuchnia, ściany ozdobione świętymi obrazami i makatkami, wielki, stary stół na krzyżakach, a na stole w wyszczerbionych talerzach zalewajka lub kapuśniak i pyzy ze skwierczącymi skwarkami. I małomówny, mądry dziadek o stwardniałych, szorstkich dłoniach. Tak skonstruowany zbiorczy wiersz z daleka zalatuje sentymentalizmem, ale jeśli jego elementy rozsiać po kilku albo kilkunastu utworach, to otrzymamy coś, co może nas wzruszyć, przekonać do autentyczności przeżycia. Autorami wierszy są ludzie dorośli, ci, którzy od dawna nie mieszkają w rustykalnych krajobrazach, a to znaczy, że zainspirowała ich pamięć. Pamięć, która zachowała obrazy, wonie, dźwięki, smaki. Jest w tym coś z tęsknoty za rajem utraconym...

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych po raz pierwszy pojechałem do Chin w pięcioosobowej grupie delegowanej przez Związek Literatów Polskich. Był to czas, kiedy nie tłoczyły się w tym kraju wycieczki z całego świata, na ulicach Pekinu i Szanghaju widywało się polskie małe fiaty sprawujące funkcje taksówek, a na nas, białych, wielkonosych, patrzono z zaciekawieniem, a czasem z wrogością. Rok później członek delegacji, znaczny w owym czasie poeta, wydał tomik składający się z kilkudziesięciu wierszy będący plonem tej dziesięciodniowej podróży. Wystąpił w charakterze przydrożnego malarza landszaftów, nie uwierzyłem w ani jeden wiersz. Myślę, że każda podróż w kraje nieznane jest zapładniająca, ale nie ufam zapłodnieniu, które natychmiast owocuje. Zostaje jednak coś, co nawet po długich latach pojawia się w wierszu. Coś, co utkwilo w zakamarkach pamięci.

Zapomniane pozornie wrażenia zmysłowe budzone są przez bodźce. Kiedy chcemy sprawić przyjemność pani domu, która ugościła nas zrazem zawijającym lub rumsztykiem z cebulką, powiadamy, że tak właśnie danie to przyrządzała nam mama lub babcia. I jeśli przypadkiem mówimy prawdę, to pewnie wychynął z pamięci tamten, albo bardzo zbliżony smak.

Bywa tak, że po przyjeździe do miasta, w którym nigdy nie byliśmy, nie oceniamy tego miasta jako brzydkie, przeciętne czy piękne, a

uświadamiamy sobie z niewiadomych powodów, że tu właśnie moglibyśmy zamieszkać. Bywa tak, że przychodzimy do obcego domu i od razu czujemy się w nim dobrze. I kiedy zaczniemy te wrażenia analizować, dochodzimy do ich przyczyn: jakieś architektoniczne fragmenty i detale pochodzą z miasta naszej młodości (wzrok), a dom pachnie tak, jak pachniał dom naszego dzieciństwa (woń). Możemy co do tego nie mieć pewności. Możemy tego nie wiedzieć, a zaledwie podejrzewać albo przeczuwać. Ale zawsze piszemy, żeby siebie sobie wytłumaczyć. Dojść do tego skąd się wzięliśmy, z czego jesteśmy, kim jesteśmy.

Próbujemy. Tylko nielicznym to się udaje.

### III

Jarosław Iwaszkiewicz w którejś ze swoich gawęd o książkach zamieszczanych w śp. „Życiu Warszawy” napisał, że być poetą to znaczy przez całe życie pozostawać w dziecięcym pokoju. Nie każdy w dzieciństwie dysponował swoim pokojem, ale Iwaszkiewicz chciał tymi słowami powiedzieć, że poeta powinien oglądać świat oczami dziecka. A dziecko patrzy na świat jako na coś wielkiego, tajemniczego, czasem groźnego, a czasem przyjaznego, patrzy spojrzeniem zadziwionym. Być poetą to znaczy zachowywać nieustraszoną czujność. I może – jak chce Olga Tokarczuk – czułość.

Nie pochlebiamy sobie – jesteśmy zwyczajni. Może tylko odrobinę bardziej wrażliwi. Ale wszyscy przeżywamy to samo i tak samo czujemy: miłość i nienawiść, tęsknotę i obojętność, przyjaźń i wrogość, bunt i rezygnację, myśli o przemijaniu i niejasną, niesprawdzalną nadzieję. Ta powtarzalność ludzkich uczuć jest naszą szansą, szansą dotarcia do czytelnika. Chcemy ją wykorzystać pisząc wiersze – listy do nieznanego adresata. Listy, w których sami siebie sobie tłumaczymy.

Marek Wawrzkiwicz

## Maksymilian Stanke

### Skazany Zeus

*Inspirowane „Starym Prometeuszem”  
Zbigniewa Herberta*

Siedzą w celi Zeus i Prometeusz,  
niegdyś sławieni pod szczyty olimpijskie  
dziś pogardzani jak świnię.

Wspominają dawne lata:  
gdy jeden był panem świata,  
a drugi lepił z gliny pokraczne figurki.

Wspominają swoją chwałę i potęgę,  
szczyty rozłupywane przez błyskawice  
i ogień, który w nocie grzał tak miłe.

Wspominają i się żalą na pokrętność myśli:  
z błyskawicy zrobiono pistolety  
i inne ckm-y

A ogień który odganiał mroźne upiory  
i sprawiał, że odchodził wilk wiecznie głodny,  
dziś niszczy nawet nasiona kwiatów.

Bo życie obrósło śmiercią,  
z płomienia nie powstaje Feniks,  
jedynie boskie strzały niosą śmierć jak dawniej.

I czekają więźniowie bliskiego wyroku  
wydanego przez synów – dzisiaj wrogów,  
który pogrąży świat w zamęcie  
i popiele.

### W poszukiwaniu siebie

W objęciach osieroconej nocy,  
czytając zapomniane freski gór,  
staram się na nowo odnaleźć siebie.

Jak promień ukryty pośród cieni,  
a może mrok w samym sercu światła  
– poprzez mgły prowadzi mnie piosenka.

Niczym pionek na złotej planszy  
czekający na koszący wszystko ruch  
staram się walczyć z okrutną dłońią.

Ze strzępów wyblakłych wspomnień  
i przelanych łez atramentowych,  
jak z puzzli składam swoją tożsamość.

### Świąteczna niewolnica

O wiele urodziwa, świąteczna panno  
narodzona wśród nocy z leśnego księcia!  
Barwne łańcuchy imitujące światło  
krępują cię jak marniejącego więźnia...

I stoisz dumnie wśród komercji i fałszu  
odurzana ostrym zapachem pierników.  
Twój głos niknie wśród świątecznego czasu  
– gdy widzisz tłumy pijanych kołędników...

Wciąż wierzysz w radość, miłość i ludzkie serce,  
– stoisz na przekór komercyjnej zawiei.  
Ufasz, że empatia zrodzona w Betlejem  
wieje w nas swój dar dobroci i nadziei...

\* \* \*

I znowu rodzę się na świecie  
pełnym wiatru obłudy,  
gdzie świeca nie daje ciepła  
a nadzieja kona w blasku gwiazd.

I znowu widzę pełne kościoły  
i msze pełne słów pozbawionych znaczenia  
w oczach ludzi tumanionych zapachem...

Biedni niewolnicy błąkają się upici  
świątecznym kompotem (lub czymś  
podobnym).  
Znowu wznoszą święte przekleństwa bez  
okazji  
– zapominają powoli własne imiona...